№ 15.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 15. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Jakto dawniéj kochano.

(Ciąg dalszy.)

Jakto dawniéj, jeśli co tylko zaszło między dworskimi, od ucha do ucha, powoli dochodziło do samego państwa, a najpierwéj do pani; chwila raportów odbywała się zawsze przy zdejmowaniu pończoch i wkładaniu czepka nocnego — wtedy około księżnéj jéjmości zbierały się panny respektowe i godniejsze z fraucymeru; jedne w nogach, drugie około głowy, słówkiem po słówku składając się na dzienną gazetę, która zwykle kończyła się przyspieszeniem snu błogosławionego dostojnéj pani; słowem pełniły tę samą usługę, jaką dziś Walter-Skot lub pani de Kock. — Najulubieńszym przedmiotem pogadanki bywały amory i zaloty dworskich: jak pan Jarzyna dostał odkosza od panny Piotrowskiéj — jak pan Ordęga zaleca się do żony kassyera — jak pisarz pobił się z froterem o Magdusię — jak kredenserz chce się żenić z kawiarką, i jak staréj szafarce mąż się wynalazł.... — Tych i tym podobnych andronów słuchała księżna jéjmość, wpuszczając zwykle jedném, a wypuszczając drugiém uchem, alić pewnego czasu, kiedy sen nieprzychodził, zagadła: »Cóż moje dziewki prawicie mi o tém i owém, a żadna o Szczuce ani piśnie?«...

»Pan Szczuka?... bo pan Szczuka...« i ściskając ramionami kręciły głową.

»Cóż Szczuka?... przecież to perła naszego dworu, faworyt mego męża. — Wstyd wam dziewczęta — widać, żeście się nieumiały podobać.«

»Podobać?! — krzyknęły — podobać?! a jużby też jaśna pani przyszło na biedę!...«

»Takiemu poganinowi, co na nas niespojrzy?«

»Co woli kufel i ceklacyę?«

»Co radniéj ze swoim pachołkiem rozmawia, niż z nami?«

»Co gdy którą spotka, to się żegna jak odezłego?«

»Co tańczy by niedźwiedź?«

»A co myśli, że po jaką pannę Wojnicką abo Krakowską posunie?«

»Oj, pan Jarzyna najlepiéj odcyfrował tego gagatka« — natrąci stara panna Gertruda, przełożona fraucymeru.

»Gadajże mi!« — na to rozciekawiona księżna.

»Księżna pani daruje, ale bo to się tycze osoby.... mogłabym urazić...« — i chytrze spojrzała na pannę Barbarę Peretiatkiewiczówne.

»Mnie zaś?« pochwyciła Basia — »moja panno Gertrudo — proszę uniżenie, kogoż tak mogłam moją osobą zastanowić?...« i przygryzioną dolną wargę odęła z wyrazem wzgardy.

»Mów, mów« — nastanie księżna.

I panna Gertruda uradowana z pełnego rozkazu, nuż brać pana Gabryela na ząbki, nuż wywodzić coś od Adama i Ewy — a tak dawszy swéj świegotliwości pole, dopiero po dobréj reprymendzie od księżnéj uczyniła nagły zwrot do zapowiedzianéj katastrofy: jak na Zielone Świątki, kiedyśmy się wybrały (były jéj słowa) do Śgo Krzyża na summę, szła i panna Barbara z nami — wtenczas pan Jarzyna stojąc w oknie, postrzegł nas i zawołał na pana Gabryela, co z marszałkiem grał maryasza: »Patrzaj-no wasze! patrzaj! co to za klejnocik ta panna Barbara, żeby mi pozwoliła ukąsić się w mały paluszek, jużbym się ofiarował piechotą

do Częstochowy....« — »Ha, ha, ha!« na to pan Gabryel, niewstając nawet od kart — »żeby człek szczerze zapragnął, miałby nietylko paluszek, ale i rączkę i bez tyle fatygi...« — »Ej! waszmość dufny widzę w siebie, ale posuń« — przytnie pan Jarzyna — »przecież to panna posażna, urodziwa, że w całéj Warszawie poszukać, i niejednemu dała dobrego odkosza...« — »Mnie to niespotka« — odrzekł pan Gabryel, poprawując pasa i wąsa — »bo Szczuka nieszuka, ale jego szukają...« — »Mości moderacie! a to co znowu?« — krzyknęli panowie pokojowi, słuchający tę rozmowę — »waszmość widzę obcesowszy, niż jaki szambelan j. k. mości?« — A pan Gabryel z humorem: »Snadź niezjedliście zemną beczki soli, kiedy nieznacie, jakim jest.«

»Podobał mi się! lubię go!« — przerwie śmiejąc się księżna z téj oryginalności swego dworzanina — »taki jak się zakocha, to już na śmierć. Cóż ty na to Basieńku?«

Ale Basia, anibyś ją poznał, taka zwarzona, a zmieniła się i w rysach i oczach, by cudowny obraz — szczęściem nikt tego niedostrzegł dla cienia od pawilonu, co ją osłaniał; dopiero po chwili taka odpowiedź przedarła się przez pierś ściśniętą: »Co ja na to księżna pani?...« — a po małym przestanku: »biedna sierota, będę się starać o wysokie względy pana Gabryela.«

»Nieżartuj z tego, moje dziecko« — zacznie poważnie księżna — »to człowiek, co nie od kształtu ma głowę, a do tego z dobrego gniazda — a choć nie tyle się może podobać, co nasi kawalerowie w fryzurach i frakach, przecież na męża taki najlepszy....«

»Na męża?!« — mruknęła Basia — »...ja niechcę męża...« i spuściła główkę, a fraucymer nosy — tylko panna Gertruda chciała coś jeszcze rozprawiać, ale księżna czując się rozmarzoną, odprawiła je zwykłém: »idźcie spać, moje dzieci« — godniejszym pozwalając ucałować swą rękę.

To co zaszło, trafiło się jakoś na krótko przed wyjazdem ze stolicy — i sprawiło naraz jakby czarodziejską odmianę w charakterze panny Barbary: — ona, taka dumna z opieki księżnéj pani (matka ją bowiem odumarła z zapisem czterdziestu tysięcy posagu), z pochlebnych słówek cedzonych jéj przez słodkie usta szarmanckich kawalerów z dworu, i nie z dworu j. królewskiéj mci — ona, taka zakochana w swojém zwierciadle, które jéj pokazywało stanıczek wcięty jak u osy, oczki jak tareczki, a żywe, a nad niemi dwa wąskie, zagięte, ruchome łuczki sobolowe, takie wyraziste przy wysokiéj fryzurze napuszczonéj wonią i osypanéj pudrem à la marechalle — ona, drugi tom Szczuki, co dotąd na żadnego z tych panów pokojowych nierzuciła półznaczącego nawet spojrzenia, co modnych fircyków umiała zbywać dziecinnemi żartami, co — w nieustannym zawrocie balowym, jak dzień boży wizytach, teatrach, niemiała nawet czasu rozpytać swego serca, które dotąd tak drobnemi namiętnościami było miotane, że o miłości ledwo śniło — ona, z dumnéj, zimnéj, roztrzepanéj, pustéj, stała się naraz nadskakującą, poufałą z dworskimi, lgnącą jak przylepka, a mianowicie, gdy nastręczała się sposobność spotkać pana Gabryela, którego iście zdawała się szukać, a dawać mu pierwszeństwo, a ośmielać i z pod ciemnych łuczków puszczać strzałki zatrute słówkami francuzkich madrygałów, które od kontusza i pasa, od nastrojonych wąsów, łaszczowéj czupryny i sarmackiéj powagi pana Gabryela, odpadały by od Achillesowéj paiży. — »Niestetyż! — wołała biedaczka, płacząc ze złości i tupiąc nóżkami — i skaczę, i głaszczę, i świegocę, i umizgam się, a on jak niedźwiedź tylko się ogania; — nieraz nasłyszałam się rozpowiadań o różnych czarach na miłość — o zielu lubistku — o widełkach z nietoperza — ach! gdyby jak tego ptaszka usidlić!... a potém — a potém... ha, ha, ha!« — i brała się pod boki ze śmiechu i klaskała w rączki.

Pan Szczuka ciągle jak z za muru broni się swojemi niezachwianemi pryncypiami, niespuszcza z powagi, odcina się — cóż, kiedy tak nieforemnie, że słówko panny Barbary zawsze na wierzchu. To go oburza, widząc, jak drudzy kosztem jego się bawią, zły — przysięga nigdy ust nieotworzyć — a przecież zaczepiony wstydzi się zmilczeć — to też dzień w dzień owe kłótnie, niby przed trybunałem Kupidyna wytaczane, zaczynają być dla niego ciekawsze, tak dalece, że dworscy już przebąkują: »Kto się kłóci, ten się kocha.«

»Kto, ja? — woła pan Gabryel — w tym zadartym nosku, w téj pupce upstrzonéj muszkami? pierwéj...« — i chciał niebo i piekło wzywać na świadków strasznéj przysięgi — lecz tylko konfederatkę na bakier nasadził i usta zacisnął. Słowem była to straszna walka, jak ów pojedynek Kozłowskiego z Rzewuskim, do pierwszego spotkania — walka na szarych wieczorach, na przechadzkach, na pokojach, wszędzie gdzie tylko panna Barbara z panem Gabryelem; on bowiem już nieunikał niewiast jak dawniéj, a to rozumiejąc: »prędzéj czy późniéj przyjdzie to złe na ciebie Gabrysiu, musisz dać zdrową głowę pod ewanielię — wolisz teraz, jak szczwany rostrucharz na jarmarku, z daleka tylko upatrywać, a upatrzywszy, przybić targu, żeby już

nikt niepodkupił.« — I on, jak rostrucharz na serce, z daleka tylko objeżdżał i przyglądał, choć przedający napierali się z towarem — bardzo mu podobała się ta igraszka — ale najmniéj pannie Barbarze, bo jak od sknery niełatwo wydobyć dukata z trzosa, tak jemu serdecznego wyznania, coby ni stąd ni z owąd samo zaplątało się na języku, napędziło cię w matnię jak łokciowego szczupaka. Biedna dzieweczka martwi się, aż zmizerniała, a jednak pociesza się: »Niechno w drodze, na popasach, na noclegach; niebędzie tyle etykiety, więcéj zbliżenia, a na wsi jakoś tak romansowo, ptaszki śpiewają, strumyki mruczą, i czegoś tęskno.« — Czy słowo w słowo taka myśl była Basi — niewiem — bo to nie z tych doświadczonych kokietek, co to swoje lata wyterminowały — o nie! ona jakoś zgaduje po sobie, przypominając, co to gadało serduszko po każdym wyjeździe z Warszawy, i to przyczepia wnet do onéj pijawki, co ją tam ssie i niepokoi — do zemsty. Ale wszystko się usadziło na udręczenie malutkiéj Basi: nic niepomogła ani landara łamiąca się pod pannami; nic przysiadka na bryczkę pana Gabryela, co w sam czas nadjechała — nic popasy po popasach, noclegi po noclegach — nic tyle szczęśliwych zręczności do zwierzeń, do oświadczeń, do zakochania się; jak stanęło na jednym karbie, tak ani go rusz daléj. Biedna dziewczyna rozpacza; jeśli nie teraz, kiedyż go rozkocha? a innego rodzaju zemsty niewidzi, lub obrać niechce. — Byłżeby to lis tak szczwany, żeby mu żadne zastawki niepomogły? albo też *simplex servus dei*, któremu niewywietrzały jeszcze admonicye OO. Jezuitów? Nieraz bowiem znużona przybraną rolą, chciała mu wszystko przebaczyć, biorąc ozwanie się jego za prosty komeraż zawziętéj panny Gertrudy z powodu doznanéj niegdyś konfuzyi od pana Gabryela, którego miała zamiar ułowić swoim haczkowatym nosem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

(Ciąg dalszy.)

4. *Zatrudnienia drobnéj szlachty i chłopów.*

Uboga szlachta i chłopi zwozili gnój na rolę, a we właściwéj porze radlili ją, skradlili (gnoili), ugorzyli, odwracali, pracując na siebie i na drugich. Każdy na ich pracę czyhał; chłop szczególniéj musiał się z każdym dzielić kawałkiem chleba, na który krwawo zapracował. Opłacał się, kiedy go wsadzono do więzienia (kiedy cierpiał kuny), dawał dla biskupa, dawał podatki i pobory: cierpiał korbacze, gąsiory (więzienie), osaczniki [1]) i pochlebce, wiele znosił od swoich panów przykrości, którzy najczęściéj byli furyaci [2]). Jeszcze przed Zygmuntem I. nierobili chłopi pańszczyzny, lecz czynsz płacili. Późniéj włożyli na nich panowie dzień jeden roboty, jak to widać z konstytucyi r. 1520., następnie dwa dni, a niezabawem trzy dni pracować musieli chłopi we wsiach biskupich i kapitulnych, cztery dni we wsiach szlacheckich ($2\frac{1}{2}$). W ruskich ziemiach chłop codzień po pół dnia robił dla pana, po pół dnia dla siebie; a za pastwiska, których używał, osobno się opłacał. I tak za paszenie w lesie brał pan pod nazwą podarku (poczty, poczczenie) bryndzę albo sér, następnie chłop przynosił dla pana w darze barana, nakoniec brał pan *dziesięcinę z trzody*, i co dziesiąty baran do niego należał [3]). W innych krajach polskich rozliczne chłopi opłacali czynsze, a to za wszelkie użytkowanie z dóbr pańskich. Rzecz tę dokładnie opisał Teodor Zawacki [4]) w ten sposób, wyłuszczywszy wszystkie snadź przychody, jakie podług prawideł ówczesnego gospodarstwa miał rządny ziemianin ze swojéj roli: »A te są dani kmiece: czynsz, najem, miodowe czynsze, gajowe dani, karczemne, rybne czynsze, kapłony, kokoszy, kury, chmiel, jajca, łoj, pieprz, gęsi, owies, żyto, pszenica, manna, żołądź, orzechy, bukiew, konopie, sery, raki, siemie. Młynarze co kaczki biją (strzelają po stawie wodne kaczki), po szesnaście groszy mają dawać. Co smołę tlą, po groszy ośmnaście, kowale od tlenia węgla po groszy dwa. Gdy kmiecie iadą sobie po drwa do boru dla palu, od każdego wozu grosz ieden, także co po rokicinę jeżdżą na płoty. Kmieć, który czynszu w wigilią ś. Marcina nie odda, który iest nie wielki, nazajutrz po ś. Marcinie tyle dwoje ma oddać pod winą: oprócz przyległego jarmarku pod on czas [5]). O ś. Marcinie koniec ma być spi wszelkich [6]): w tenczas też przy czynszach prawo ma być wszelkich krzywd przesłuchanie. Winy doroczne i porządki mają być spisane. Rozdać urzędnikom pamiętne, gdzie trzeba zimie budować.«

Oprócz płacenia czynszów, podarki przynosili panu chłopi, idąc na wiece (na sądy) do niego [7]), i robocizną wysługiwali się mu. W téj mierze tak się wyraził Zawacki [8]): »Zwieczora robotę nakazać i rano przez wieś idąc zawołać: „wychodź, wyjeżdżay“; który nie posłucha zaraz karać, który posledszy przyjdzie (spóźni się), tak się z nim obejść iako z żaki Bakałarz wszkole, dać mu chłostę i pamiętne dobre.«

Wszystko zaś to wykonywał pan, przez umyślnie na ten cel trzymanego człowieka, którego wówczas urzędnikiem lub starostą nazywano. Godłem jego powagi był bicz (batog), który nosił za pasem [9]). Stojąc on nad chłopami, zachęcał ich do pracy harapem, ustawicznie wołając: »pożynaj, nie postawaj« [10]). Krzątanie się jego około pańskiego dobra, wyrażono w piosnce, którą żniwiarki przy robocie śpiewały [11]):

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego,
Nie iesteś ty zwyczajów Starosty naszego.
Ty wstajesz kiedy twoy czas: iemu się zda mało,
Chciałby on żebyś ty od pól-nocy wstawało.
Ty bieżysz do południa zawsze twoim torem,
A on chciałby ożenić południe z wieczorem.

Lubo z czasem ustały wszelkie przyjazne stósunki pomiędzy panami a kmieciami, i żadnego względu niemiały na siebie obadwa te stany; lubo, jak mówi Szymonowicz [12]), wygnać chłopka z gospodarstwa było powszechnym obyczajem ówczesnych panów; przecież z dawnego nawyknienia niepostał kmieć we dworze, ażeby jakiego niemiał panu złożyć podarunku, na znak przywiązania i szacunku. Jeżeli zwierzyny dostać niemógł, przyniósł mu kapłona, albo gęś, albo parę kur pod pachą, a w garści miskę glinianą jajek [13]). Lecz i w téj mierze dopuszczali się nadużyć panowie, co opisał Rej [14]): »Kiedy pan wojuje już daj chłopie kurę, daj owies, daj siano, a biegaj po piwo«; tudzież Witkowski [15]): »Sprawuie pan wesele, chrzciny, daje na to chłop; pan idzie na woynę, daj chłopku stacją; wypchną go od domu na powoz daleki, tak iż pieszo wraca do domu.« Biedny to był lud, obdzierany od każdego z własnego mienia. Nieraz musiał orać jednym wołem, bo oborę zabrali mu żołnierze [16]). Całe jego bogactwo składała para szkap zamorzonych, para wyrobionych wołków. U niego owieczka niezabekła, krowiczka niezaryczała, bo mu ją zabrano. Czasem dwa chłopi składali się na sprzężaj do jednego pługa, pożyczając sobie kół płużnych i żelaza. Przecież [17]) dawniéj było inaczéj. Dawniéj miała gospodyni liczyć co pod wieczór, gdy mnogie z pola powracały do domu stada; a gospodarz liczył nieraz sto grzywien leżących w skrzyni pieniędzy. Pełno było u niego w gumienku, w oborze i w skrzyni [18]).

Ubożejąc chłopi brali zapomogi od panów, albo niewypłacali się z należytości. Lecz tym sposobem pogarszali swój stan, bo z tego powodu nabywał pan większego do nich prawa, i tém bardziéj przywięzywani byli do gruntu, któremu się w ten niby sposób tém wiécéj zadłużali, im więcéj miał pan do ściągnienia od swoich poddanych. Z téj nawet przyczyny mógł ich sprzedać jako dłużników, to jest należący się od nich dług ustępując komu innemu, tém samém ustępował mu i chłopa. To mając na uwadze, łatwo zrozumieć słowa szlachcianki [19]), która mówi do męża, że jéj potrzeba kupić strojów, choćby też kilka chłopów na to sprzedać. Ażeby zaś chłopa jako rzecz godziło się było sprzedawać u nas, na to nasze prawa niepozwalały, chociaż coraz to więcéj stanowiły na szkodę chłopów. Jeszcze w r. 1543. obowięzywało prawo, że więcéj nad dziesięć grzywien niema sobie do chłopa rościć pretensyi pan; ażeby dawając mu wiele zapomogi, lub należytości swojéj nieściągając od niego, niemiał przez to wiele zobowiązanego sobie chłopa, i wolności jego nieścieśniał przez to. Ale w r. 1588. mógł aż do pięciuset grzywien zakładać sobie pretensyi pan do poddanego, a nawet powiększyło prawo te pretensye. W województwie Bełzkiém w dawnym stanie rzeczy pozostać miały [20]).

[1]) Myśliwstwo utrzymywał pańskie. [2]) Klonowicza Worek Jud. str. 101. (2½) Szmiglecki o lichwie str. 118. [3]) Szmiglecki str. 121. Szymonowicza Sielanka 17. [4]) Pamięć robót w Listopadzie [5]) Tego nierozumiem! [6]) Ssypów czyli danin zbożowych, które chłopi dawali. [7]) Rozmowa 2ga z r. 1553. [8]) Tamże pamięć robót w Grudniu. [9]) Szymonowicz, Siel. 18. [10]) Szymonowicz, tamże. [11]) Szymonowicz, tamże. [12]) Tenże w Siel. 9. [13]) Zbylitowskiego żywot.. Mijakowskiego kokosz. [14]) Wizerunek 172. [15]) W Pobudce. [16]) Witkowski, tamże [17]) Słowa są Zbylitowskiego w Schadzce. [18]) Paprocki, Próba cnot. [19]) W intermedyum Scylurusa przez Jurkowskiego. [20]) Smiglecki, str. 124.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka listów z nad brzegów Renu.

Pisane do *T. M.* przez *S. W.*

List siódmy.

(Ciąg dalszy.)

Podróż po wodzie podobna jest bardzo do téj, jaką wszyscy odbywamy ciągle przez obracanie się ziemi; jesteś wojażerem, lecisz nawet jak ptak, i ani czujesz, anibyś się tego domyślił. Niemówiąc nic o naszym latawcu globusie, tym generalnym wszystkich nas statku, tym dziwnym wszystkich stworzeń omnibusie, który ród po rodzie, i pokolenie po pokoleniu wiezie nas, Panu Bogu tylko wiadomo skąd, gdzie i po co, i gdzie pod jednem nakryciem i z równém bezpieczeństwem siedzi największy bohatér i najmaluksza mróweczka, — niemasz na świecie słodszéj podróży, jak statkiem: żadnéj przy-

krości, żadnéj niewygody, jakie w pojeździe muszą być koniecznie choćby i w najlepszym; niezdrętwieje ci noga, nieodsiedzisz sobie boku, możesz się wyciągnąć jak chcesz, wstać, chodzić, siedzieć, leżeć, pisać, grać, robić co się podoba, słowem zapomnieć, że jedziesz. Ja nawet myślę, że innych dróg, innych traktów na świecie jak rzeki, wcale być niepowinno; ani też innych karet, koczów i bryczek, jak okręta, statki i czołna. Na lądzie niechby tylko szły ścieszki od sąsiada do sąsiada, i do kościoła. Dla istotnych potrzeb koniecznéj i godziwéj komunikacyi doprawdy żeby to mogło wystarczyć; bo naprzód, człowiek powinien siedzieć na miejscu, a latać tylko myślą i sercem, i to nie gdzieindziéj, tylko do Tego, któren jest jego Stwórcą, początkiem i końcem; powtóre, wierz mi, z tego takiego kręcenia się i uwijania się ludzi nic się dla nich w gruncie dobrego nierodzi. Otoż patrz, patrz, jakieto piękne, nowe i mądre myśli poławiają się na Renie między Mannhejmem a Moguncyą! — Spłoszyły mi je trochę i w inną zwróciły stronę ponure wieże Wormsu, do któregośmy właśnie dopływali, sławnego historyą Ex-Augustyanina, tego, jak go jeden z naszych starych kościelnych pisarzy nazywa, mnicha wylazłego z kapicy, co niegdyś w tém mieście występował z całą powagą i śmiałością. — Od Oppenhejmu zaczął się kraj jeszcze piękniejszy. Wzgórza, które dotychczas szły tylko prawą stroną, pokazały się także z lewéj. Pogoda, jakąśmy sobie od rana obiecywali, niezawiodła; po drodze, co pół godziny, co kwadrans, witały nas z brzegów różne małe miasteczka i wioski; Ren wywijał się to w jednę, to w drugą stronę, a my za nim i za nim; w uszach rozciągły, łagodny szum, jak gdyby rozmowa lasu wielkiego; w oczach jasno, przyjemnie, zielono; gdzieniegdzie małe czółno z czerwoną chorągiewką porwie się jak ptak od lądu, dogania, podwija się pod statek, i wnet dwóch lub trzech nowych nam gości przybyło; gdzieniegdzie stacya, więc sami do brzegu zakręcamy, i niebawiąc dłużéj, niżby na poczcie konie przeprzęgano, już dzwonim na znak odjazdu, tylko dym po nas pozostał i długo się w powietrzu rozwleka, jak wielka kurzawa, kiedy pojazd pędzi po suchym, szerokim gościńcu. Czasem także pokazał się nasz alter ego, taki sam statek, płynący z strony przeciwnéj; więc się mijamy, dając sobie znaki powitania, nieznajomi do nieznajomych; młodsi, weselsi, wszczynają nawet krzykliwą rozmowę; jeszcze słowa przez wodę niedoszły, jużeśmy się w swoje drogi rozbiegli. O czém chcieli do siebie gadać? co powiedzieli? z jakiego powodu? darmo dochodzić. Tak w piękny dzień dwa stada ptaków spotkawszy się wydają ku sobie głosy nawzajem, bo w koło powietrze przejrzyste, wesołe; bo nad niemi niebo lazurowe, szerokie; bo lot ich swobodny, szczęśliwy. — Daleko jeszcze było do wieczoru kiedy z lewéj ręki zaczęła wysuwać się Moguncya. Na znacznym zakręcie rzéki i trochę na wyniesieniu, dla płynących z téj strony zdaje się zupełnie drogę zamykać. Wspaniale wygląda; mury wysokie, wieże gęste. Długośmy pod miastem płynęli nimeśmy wbiegli do portu.

Miasto samo żeby miało być piękne, czyste, porządne, tego niepowiém; ale po Mannhejmie wydało mi się bardzo ożywiono. W stronie zwłaszcza od rzéki ruch istotnie jest znaczny. Możesz także, nieczytawszy nawet Liwiusza, wiedzieć zaraz za piérwszém wejrzeniem, że tu już nieoddzisiaj ludzie mieszkają. Starodawność Moguncyi, niemówiąc nic o czarach rzymskich, ma potężny i wspaniały pomnik, katedrę. Gmach ogromny, ale przyznam się niebardzo dla oka piękny, — niesłychanie ciężki. Zdaje się, że było mu strasznie trudno piąć się w górę; że jak go wynoszono, ustawicznie ciężarem swoim osuwał się na dół. Niejestto bynajmniéj, jak np. kościół strasburski, akt strzelisty, serdeczny, pędem w niebo godzący; ale raczéj mozolna, pracowita, i wytrwała, choć nierówna, modlitwa. Za to wnętrze bardzo wspaniało. Nagrobki arcybiskupów moguncklch, których tu przeszło dwadzieścia, lub znacznie pouszkadzane, ogląda się z wielkim interessem. Na każdym prawie, naturalnéj wielkości kamienna figura nieboszczyka, i w całéj pompie arcykapłańskiego stroju: — widok tém poważniejszy że znać odrazu, nieczytając nawet napisów, jak to jest dawnéj starożytności. Także po rozmaitych innych nagrobkach, jakich tu gęsto z każdéj strony, a wszystkie już niewczorajsze, mnóstwo upatrzéć można pięknych rzeczy. Przy lewych np. drzwiach od wielkiego ołtarza, w nagrobku jakiegoś biskupa, wyborna płaskorzeźba zdjęcie z krzyża, gdzie figura Najświętszéj Panny dziwnie piękną. Za to znow napisy nieraz niewiedzieć jakie. Czasem zupełnie tego rodzaju, a przynajmniéj téj wartości co nasz tu leży trębacz, Panie mu przebacz, albo co owa starościna, którą śmierć niestarą ścina. Wolę nawet trębacza niż np. lege et luge, plora et ora, ingemisce et contre misce, etc. Okna, z których naturalnie ani jednéj szyby niezostało, zaczęli teraz na nowo malowidłami zaprawiać. Jedno nad wielkim ołtarzem wystawiające Zbawiciela na krzyżu, bardzo ładne; piękniejsze nierównie od wszystkiego co mi się w tym rodzaju,

ma się rozumieć z nowych rzeczy, zdarzało widzieć we Francyi: kolory dzielniejsze, ognistsze. Czy jednak istotnie, jak się malarze już chwalą, będą tak trwałe jak dawne, to jeszcze pytanie. Okno o jakiém powiadam, ma dopiéro pięć czy sześć lat.

Wyszedłszy z katedry, ciekawy byłem pomnika Gutenberga, o którym świeżo dzienniki niemieckie tak się rozwodziły z pochwałami. Wiesz że się rodził w Moguncyi; — notabene niepomnik, bo ten rodził się w Rzymie i z ojca Thorwaldsena, ale sam Gutenberg, przyjaciel i podobno kolega sławnego naszego verbum nobile Twardowskiego. Szczególniejsza rzecz, że w historyi wynalazku druku, któren choć prawda dziwny, niejest jednak dziwniejszy od tylu innych, tradycja ludu, i u nas i gdzie indziéj, tak wmieszała diabła. Fatalny kollaborator! i niebardzo to powinno być przyjemnie dla wszystkich, których los jakimkolwiek sposobém przyczepił do świata drukarskiego. Bądź co bądź, że w wielkiéj armii piszącéj i drukującéj, ja także tam jakimś biédnym ciurem zostałem, tém bardziéj tedy należało mi tutejszy pomnik oglądać. Placyk gdzie stoi: nieregularny, nieładny, brudny. Niepodobało mi się wszystko com tam widział. Posąg wynalazcy sztuki drukarskiéj, jeżeli to ma być istotnie sztuka szlachetna, szanowna, mądrości i prawdzie poświęcona, powinienby być, jabym przynajmniéj tak rozumiał, w jakiemś miejscu spokojném, raczéj samotném niż zgiełkliwem, tuż np. przy domu bożym, w bliskości jakiego poważnego instytutu naukowego, jakiéj biblioteki, i t d. Tu przeciwnie, z jednéj strony teatr, brzydki i niezgrabny budynek, gdzie na drzwiach i oknach poprzylepiane gęsto affisze obwieszczały szanownéj publiczności przyjazd dwojga sławnych artystów, baletniczki, i brzuchomówcy; z drugiéj, kilka bud jarmacznych włoczęgów, pokazujących małpy, węże, woskowe figury, i inne podobne ciekawości; w koło zaś i pod samym pomnikiem tłumne targowisko, straganу przekupek, tandety rozmaite, stoliki z wódką i piwem, żebraki, policyjanci, krzyk, hałas, przeklinania, istna zarwańska ulica! Niewiém czy byłem tak w humorze satyrycznym i złośliwym, czy też naturalnie i niewinnie przyszła mi uwaga, że istotnie sztuka Gutenberga za czasów w jakich żyjemy, że mówię drukarstwo, takie jak dzisiaj jest na świecie, nieźle w tém wszystkiém było reprezentowane. — Posąg sam niezachwycił mię. W kompozycyi jest wprawdzie prostota; kształty czyste, piękne; w umieszczeniu biblii myśl szczęśliwa (*); przecież w ogólności wrażenie jakie sprawia, niejest, jak powinno być, potężne, pewne, uderzające. Rzeźbiarz tém mianowicie różni się od pisarza, że najmniejszéj rzeczy niewolno mu być dwuznacznym i ciemnym. Niema on na swoje rozkazy komm, średników, dwupunktów, wykrzykników, i tym podobnych znaczków, ale młotu uderzenie! Posąg każdy. zwłaszcza przeznaczony na plac publiczny i téj wielkości co Gutenberga, powinien gadać głosém strasznie wyraźnym, dobitnym, takim żeby o milę było słychać, takim żeby każdy za piérwszém spojrzeniem, choćby najdaléj, już wiedział co on jest, i już go doskonale rozumiał. Tymczasem ta tutejsza figura może to być Gutenberg, ale także może być zupełnie inszy jakiś mężczyzna. W twarzy niewidać ani pracy i umęczenia ducha; ani téż, coby było daleko piękniéj, natchnienia spokojnego, które bez trudu, i tylko darem łaski nowe, wielkie dobrodziejstwo ludziom podaje. Na podstawie z dwóch stron są płaskorzeźby, z dwóch zaś napisy. Jedna płaskorzeźba nadzwyczaj mi się podobała. Myśl jéj taka: — stoi prassa drukarska, przy niéj presser w robocie i właśnie w tym momencie kiedy wytłacza; obok sam Gutenberg, odwrócony od pressera, trzyma przed sobą jeden arkusz odbity, i cały jest w nim zatopiony. Kiedy ci mam prawdę powiedzieć, to w téj małéj tablicy, w tym małym przydatku do dzieła więcéj widzę i samego Gutenberga, i sztukę przez niego stworzoną, jak w samym posągu, w samém dziele. Być może, że téż to była jedna z tych myśli, dla których wyrażenia trzeba koniecznie więcéj niż jednéj osoby; bydź może, że to niebyła myśl do posągu, ale raczéj, i takbym ja rozumiał, do wielkiéj płaskorzeźby, ta którą ci opisuję jest prześliczna, stworzona prawdziwie w natchnieniu; między innemi, ten szczegół, że Gutenberg odwrócił się od swego czeladnika, jest także doskonały; widać, że radby swój dziwny wynalazek mieć jeszcze ukryty przed tym prostym robotnikiem, prostym człowiekiem, jak skarb którego on nieumie i niegodzien oceniać; widać, że cały wynalazek należy się samemu Gutenbergowi, bo do jego oglądania i cieszenia się nim niedopuszcza nawet tego przez czyją rękę pomysł swój wykonał. W téj postawie, w tém ukrywaniu się mistrza, jest także wydana owa strona tajemnicza wynalazku, o jakiéj powieści ludu tyle nam bają. Słowém, możnaby o tém obszérnie pisać, jak zwyczajnie o każdéj rzeczy prawdziwie pięknéj i natchnionéj, o każdém szczęśliwém dziele jakiego bądź kunsztu. — Wspomniałém o napisach; — oto je masz; bom umyślnie dla ciebie przepisał, z wielkiém zadziwie-

(*) Trzyma w prawém ręku parę czcionek drukarskich, w lewém zaś, złożoném na piersi, xięgę pisma św.
Przyp. red.

niem przekupek, tandeciarzy, i policyjantów. Po jednéj stronie: Joannem Gensfleich de Gutenberg patricium Moguntinum aere per totam Europam collato posuerunt cives. MDCCCXXXVII.

Po przeciwnéj zaś:

Artem quae Grecos latuit, latuitque Latinos,
Germani sollers extudit ingenium.
Nunc quidquid veteres sapiunt, sapiuntque recentes,
Non sibi, sed populis omnibus id sapiunt.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sztuka przedłużenia życia ludzkiego.

Każdy z śmiertelnych życzy sobie dojść późnéj starości. Nawet w nędzy, gdzie życie nieprzerwaném staje się pasmem głodu i trudów, tyle ma ono uroku, iż śmierć poczytywaną bywa za największe nieszczęście. Przypomnijmy sobie ową powiastkę, którą nam starożytność podała, a zobaczymy, jak lubém to życie jest nasze. Pewna stara kobieta zbierała w boru gałązki, a w nadmiarze nędzy i cierpień, wzywała śmierci, aby ją uwolniła od biedy i udręczeń, ale przelękła się obaczywszy owego powszechnego kosyniera za sobą stojącego. Czego żądasz odemnie? śmierć się zapytała; wzywałaś mnie, otoż jestem. Staruszka, skazując na wiązkę gałązek uzbieranych, rzekła z zająkaniem: chciałam cię jeno prosić o zadanie mi ich na plecy, bo sama ich podnieść niemogę. — Otoż obraz dobitny, jak silne przywiązanie do życia śród nędzy i bólów, w organizmie ludzkim jest zawarte. Hufeland długo pracował dla ludzkości, nim wydał swoją makrobiotykę. Praca i zasługa jego aż dotąd zaledwie przechodziła granice miejscowéj działalności jego. Od czasu zaś, jak wydał dzieło swe o sztuce przedłużenia życia ludzkiego, stał się mężem ludu. Sława jego stała się europejską i przez cały czas życia ani na chwilę na świetności swéj niestraciła. Interes przezeń obudzony, dotyczył całéj ludzkości.

Sztuka przecież długiego życia, niejest tyle zawiłą, aby jéj niemiał się każdy nauczyć. Niemasz stanu, któryby od tego był wyjęty. Historya uczy, że szczególniéj w stanach średnich i pomiernych dostatków najczęściéj znachodzą się ludzie w podeszłym bardzo wieku. Pracowitość i wstrzemięźliwość są pierwszemi warunkami długiego życia.

Trudniéj dojść bogatym do późnéj starości, aniżeli ludziom korzystnego przemysłu. Villermé przekonał się, iż w dzielnicach Paryża, zamieszkałych przez bogaczów bez zatrudnienia, śmiertelność daleko jest większą, aniżeli w tych, gdzie przemysł kwitnie i stąd dostatki, niemniéj, że w departamentach Francyi bogatych rocznie jeden na 46, w ubogich jeden na 33 umiera.

Śmiertelność daleko mniejsza jest między żydami, niż chrześcianami; w Wrocławiu np. umiera jeden chrześcianin na 26, u żydów 1 na 41. Według Mesnier daleko mniéj umiera w tych departamentach Francyi, gdzie więcéj dbają o oświatę publiczną. Olbrzymy i karły niedługo żyją. — Podług Bakona synowie z ojców starych i młodych matek późnéj dochodzić mają starości, synowie zaś podobni do matek dłużéj żyją według niego, aniżeli podobni ojcu.

Kobiety w ogólności dłużéj żyją niż mężczyzni. W Szwecyi w czasie lat 9, było 2036 mężczyzn i 3540 kobiet, liczących więcéj niż 90 lat, w Paryżu w 30 latach w jednéj parafii 47 mężczyn, a 126 kobiet, a biorąc ten sam zachodzący stósunek w Berlinie, Wrocławiu, Halli, okaże się, iż w przecięciu 178 kobiet na 100 mężczyzn żyło nad 90 lat, a 155 kobiet na 100 mężczyzn nad 100 lat. Przykłady jednak najpóźniejszéj starości zdarzyły się jeno śród mężczyzn. Niemasz przykładu późnéj starości śród ludzi nieżyjących w małżeństwie.

Szczegółowe sposoby dojścia późnéj starości. Ciągłe ćwiczenia bez zbytnich natężeń ciała i sił duchowych, utłumianie przyrodzonych drażliwości, zdrowy pokarm, czystość, zaspokojenie naturalnych potrzeb, kiedy się uczuć dają, bez uprzedzania lub przesycania ich. Wystrzeganie się nagłych i nienaturalnych przejść i t. d., są to sposoby przedłużenia życia, na które każdy rozsądny się zgodzi, nieszukając sztucznych środków. Jakikolwiek sposób moglibyśmy w téj mierze polecić, np. stósowne użycie zimnéj wody do picia, mycia, kąpieli i t. d., ten zawsze tylko w połączeniu ze stósownem życiem czegoś dokazać może. Co się tyczy sposobów w średnich wiekach używanych, te możem zasłużoną pokryć niepamięcią. Nie od rzeczy jednak będzie wspomnieć o dwóch środkach, które dawniéj polecano, to jest o wcieraniu oleju w ciało (zapewne po ćwiczeniach gimnastycznych), i użyciu miodu do jedzenia (rozumie się przy prowadzeniu życia wstrzemięźliwego). 1) Ateneus powiada o Demokrycie, który doszedł późnéj starości, iż pytającym o sposób długiego życia odpowiadał: Exteriora oleo, interiora melle irrigo, to jest odświeżam olejem zewnętrzne, miodem wewnętrzne części. 2) Pliniusz opowiada o Polliuszu Romulusie, więcéj niż 100 lat liczącym, iż pytającemu Augustowi o spo-

sób, jaki go tak długo przy siłach utrzymuje, odpowiedział: Intus mulso, foris oleo (tożsamo co Ateneus).

Przykłady późnéj starości. Dwustu lat życia nikt niedożył, wyjąwszy przykłady, jakie nam pismo św. podaje; wiek jednak niektórych osób zbliżył się do téj liczby. Węgrzyn Piotr Czartan, zmarły w Białogrodzie r. 1724., żył lat 185; 169 lat dożył Jenkins rybak; 160 lat Jan Serrington w Norwegii, który umarł, kiedy syn jego najstarszy 103, a najmłodszy 9 lat liczył. W roku 1796. żył jeden człowiek koło Połocka, mający lat 163, zdrów, wesół i rzeźwy, a jego najstarszy wnuk liczył lat 95, najmłodszy zaś syn 62 lat. Tomasz Parre, ubogi wieśniak, ożenił się w 120 roku życia drugi raz i umarł mając lat 152. Drakenberg, Duńczyk, służył do roku 91 za majtka, ożenił się w 111 roku, i dożył lat 146. John Essingham, żołnierz, nakoniec wyrobnik, żył lat 144; ośm dni przed śmiercią uszedł jeszcze trzy mile.

ROZMAITOŚCI.

* Janecius doktor, burmistrz poznański, miał folwark za miastem w stronie akademii, wielce pożyteczny, a zwano go Szeląg. Zaczem żart uczynili studenci, że tak dobrze umieją strzelać że i w szeląg z działa trafią. — On zaś sam mawiał: ja w Poznaniu wolę mieć szeląg, niż w Krakowie tysiąc złotych.

* Stara mieszczka krakowska żaliła się przed doktorem Stanisławem Różanką, że już i wzrok utraciła, a on jéj na to: lepiéj dla Waszmości, bo nieujrzysz biesa przy śmierci.

Podczas ostatniego karnawału dano w Paryżu sześćset dwadzieścia i ośm balów maskowych w rozmaitych miejscach, częścią po razie, częścią po kilka razy. — W ostatni wtorek było balów w Paryżu około cztery tysiące, publicznych i prywatnych. Na to trzeba było całéj armii muzykantów, nie mniéj jak sześćdziesiąt i dwa tysiące. (?)

MODY. — Paryż, dnia 7. Kwietnia 1840. — Czarny kolor w ubiorach damskich przeważa. Po sukniach aksamitnych, atłasowych, morowych, nastają teraz suknie z koronek na spodnicach atłasowych, koloru lilijowego, słomistego lub czarnego. Ubiory takie podobają się powszechnie. Mniéj pieniężne Damy przestają na zupełnie gładkich tulowych sukniach, o dwóch falbanach, bertach, pagodach z koronek.

Jużto dawno uważano, iż gust prawdziwy odznacza się wyborem szczegółów. Obuwie, chustka, wstążki, rękawiczki, szczególniéj dziś odgrywają znaczną rolę. Dla tego postąpiono w wyrabianiu tych szczegółów, a mianowicie rękawiczek. Wiadomo, ile długie rękawiczki opadywaniem utrudzają Damy, teraz temu zapobieżono, robiąc je krótko, i przywięzując je do ręki sznureczkiem lub zapinając na guziczek.

Bramowany kaszemir, i piękne muśliny wełniane z rzucikiem kaszemirowym, najwięcéj są teraz pokupywane. Tkaniny te wyrabiają teraz daleko piękniéj i gustowniéj, niż dawniéj: desenie istotnie zachwycają, są częścią bramowane, częścią we wzór szkocki, promienisty, atłasowy i t. d.

Kapelusze zdobią koronkami, które z boku na dół opadają i tworzą kształt skrzydeł przezroczystych.

Moda złotych szpilek do włosów, coraz więcéj się upowszechnia. Noszą je nawet do rannych ubiorów. W mieszkaniu na ranek są szpilki srebrne filgranowéj roboty, które obu końcami utrzymują czepeczek, na wieczór zaś klejnoty i loki wężykowate, z tyłu rzęsisto spadające.

Mężczyzni obywają się jeszcze paletotami koloru orzechowego.

Kapelusze robią wysokie, lekkie.

Tkaniny na wiosenne pantalony są koloru bladego, niepewnego.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z małemi piórami, pod nim kwiaty. Szlafroczek jedwabny z stanikiem fałdowanym; obszerne rękawy; po obu stronach szlafroczka kokardki z téj saméj tkaniny.
2. Kapotka krepowa, z boku i spodem piórami strojna. Szlafroczek z mory, kołnierz u niéj w kształt chusteczki, garnirowany tą samą tkaniną, z któréj szlafroczek wyrobiony, takoż rękawki i powłoka.
3. Kapotka jak u drugiéj figury. Suknia w pasy, wykrojona w serce. Stanik we fałdy ułożony, które na ramionach i plecach kołnierz tworzą. Suknia obłożona jest trzema ukosami. Szal z gros des Indes.
4. Kapelusz jedwabny z szeroką wstążką. Szlafroczek z mory. Szal aksamitny z długą frężlą.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

15.